

# W pogoni za fałszywym zajęciem

Rozmowa z Janem PAWLIKIEM, prezesem Klubu Zwolenników Psychotroniki, radiesteta i bioenergoterapeutą

— Skąd się biorą zielarze, radiesteci, bioterapeuci?

— Każdy z nas ma jakiś talent. Jedni potrafią grać na instrumentach, malować czy rzeźbić. Innych natura obdarzyła umiejętnością uzdrawiania, jasnowidzenia, leczenia ziołami. To taki talent jak każdy inny.

— Ale trudno te talenty rozwijać. Nie słyszałam o szkole dla radiestetów.

— Bo takich szkół, w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie ma. Osoby, które zainteresują się np. radiestezją, same zaczynają szukać dróg do wiedzy. Przede wszystkim sięgają po książki. Dotarcie do literatury tego typu jest łatwe: ukazują się dużo książek, kilka tytułów prasowych, są audycje telewizyjne na temat zjawisk paranormalnych. Dostęp do informacji jest łatwiejszy niż przed laty. Można się też uczyć u boku kogoś sprawdzonego, kto ma doświadczenie w interesującej nas dziedzinie. Działają kluby, organizowane są kursy.

— Czy radiesteci, bioterapeuci mają swoje organizacje?

— W większych miastach Polski zarejestrowane są związki, organizacje, kluby, np. psychotroniczne, radiestezyjne. W Kielcach, Bydgoszczy i Raciborzu działają specjalne szkoły bioenergoterapii. Wydają nawet papiery czeladnicze i mistrzowskie. Oczywiście po zdanych egzaminach.

— Słyszałam, że w niektórych krajach Europy Zachodniej działają wyższe uczelnie, np. uniwersytety astrologiczne.

— W krajach, które szybciej zaakceptowały niekonwencjonalne metody pomagania człowiekowi, te sprawy są sformalizowane i uregulowane. Istnieją nawet specjalne kierunki na uczelniach. Lekarze współpracują z uzdrowicielami. Połączenie wiedzy i umiejętności jednych i drugich daje znakomite efekty. Nam daleko jeszcze do takich stosunków. Zielarze, bioenergoterapeuci nadal traktowani są jak szarlatani i oszuści. A przecież wiadomo, że współczesna medycyna liczy sobie niewiele lat. Od zarania dziejów ludzie stosowali natomiast medycynę uznawaną obecnie za niekonwencjonalną. W Polsce ciągle dyskredytuje się takich ludzi, podaje się do publicznej wiadomości historie osób, które umarły, ponieważ leczyły się u bioenergoterapeutów.

— Ale tak się przecież zdarza. Czy

— Jak na razie, nie ma takiej możliwości, ponieważ nie ma obowiązku zrzeszania się. Nic nie możemy zrobić oszustowi. Jego umiejętności mogą zweryfikować jedynie klienci.

— To dosyć ryzykowne dla klientów, którym pseudouzdrówiciel może przecież zaszkodzić.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale jesteśmy bezsilni wobec takich praktyk. Naprawdę nie zależy nam na złej opinii o środowisku i wrzucaniu nas wszystkich do jednego worka pod tytułem szarlatani.

— Załóżmy, że potrzebuję radiestety. Gdzie powinnam pójść, żeby znaleźć właściwego człowieka i to dobrego fachowca?

— Nie ma takiego miejsca, w którym uzyskałaby pani potrzebną informację. Co najwyżej może pani pójść do Urzędu Miejskiego i spytać o zarejestrowane zakłady radiestezyjne. W praktyce trafia się do takich osób z polecenia znajomych, krewnych, czyli za pomocą poczty pantoflowej. Jeśli ktoś, do kogo mamy zaufanie, poleca nam radiestetę czy bioenergoterapeutę, to jest najlepsza rekomendacja. Można też dotrzeć do klubu radiestezyjnego, o ile działa w danej miejscowości.

— Ziołami leczono od wieków. Radiestezję także stosuje się od tysięcy lat na wszystkich kontynentach. A u nas to ciągle wiedza tajemna. Dlaczego?

— Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym zrobić długi wykład. Powiedzmy może tak: to, co trudno dotknąć, zwać i zmierzyć nie przez wszystkich jest akceptowane. Dlatego mamy wielu przeciwników, chociaż widać pewną poprawę. Na przykład, coraz częściej architekci, spółdzielnie mieszkaniowe współpracują z radiestetami. Może więc i u nas dopracujemy się normalności.

— Pan także zajmuje się ziołolecznictwem, radiestezją, bioenergoterapią. Gdzie się pan tego uczył?

— Na ziołach znakomicie znała się moja babcia i mój ojciec. Tata przyrządzał nam mieszanki i nalewki. Wiem, że dużo się nauczył od księży, także z dziedzin radiestezji. Wtedy w ogóle się o takich rzeczach oficjalnie nie mówiło. Pierwsze nauki pobierałem więc w domu. Później zainteresowałem się psychotroniką i to z powodów szczególnych. Zauważyłem podczas studiów, że kiedy idę na egzamin, materiał

szej części. Kolega z pokoju umiał zazwyczaj 20 proc., ale szedł z przekonaniem, że trafi w tę dwudziestkę. I trafiał. To mi dało do myślenia.

— Jakie wnioski wyciągnął pan z tych obserwacji?

— Uświadomiłem sobie, że myśląc intensywnie o partii materiału, której nie umiem, informuję o tym egzaminującego. Poza tym, nasze myśli mają moc sprawczą. Jeśli myślę, że wyciągnę złe pytania, to zazwyczaj takie wyciągam. Efektem tych rozważań był wzrost mojej średniej z 3,5 do 4,5.

— Chce pan powiedzieć uczniom i studentom, że wystarczy pozytywnie i intensywnie myśleć?

— Właśnie tak. Dotyczy to szczególnie osób o zdolnościach parapsychologicznych. Jeśli jednak głęboko w głowie zagości zwątpienie, to nic z naszego pozytywnego myślenia nie wyjdzie. Musimy być absolutnie przekonani, że to zadziałają. Myśl jest potęgą. Kiedy odkryłem w sobie zdolności radiestezyjne i bioenergoterapeutyczne myślałem, że moc tkwi w moich dłoniach. Później zrozumiałem, że w umyśle. Potrafię uzdrawiać ludzi na odległość, a więc nie rękoma. A to oznacza, że muszę kontrolować i być odpowiedzialnym za swoje myśli. Każdy z nas powinien to robić. To, o czym i jak myślimy, ma wpływ na nasze życie i życie tych, o których myślimy. Dotyczy to szczególnie osób o zdolnościach paranormalnych.

— Czy nastawienie, wiara w to, że bioterapeuta nam pomoże, ma wpływ na przebieg leczenia?

— Na pewno tak, chociaż nie jest decydujące. Miałem pacjentkę z zaawansowanym rakiem płuc. Przyjechała z nastawieniem, że jej nie pomoże, ale nie miała już nic do stracenia. Po kilku seansach guzy zniknęły mimo jej sceptycyzmu. Przebieg leczenia uzależniony jest od wielu czynników: od trybu życia chorego, stanu świadomości, od wartości jakimi się kieruje. Nie ulega wątpliwości, że aby uzdrowienia były trwałe, musi nastąpić przemiana w świadomości. Pacjent musi zrozumieć skąd wzięła się choroba, w przeciwnym razie po jakimś czasie zachoruje znowu.

— Co więc powinien zrobić?

— Przede wszystkim zmienić siebie, swoją świadomość. Choroba bywa czasami zbawieniem. Przychodzi do mnie wiele

do zatrzymania się, do zastanowienia nad sobą i swoim życiem. Zauważyłem, że wielu z nas nie umie odpoczywać, a to bardzo ważne. Codziennie powinniśmy poświęcić chociaż kilkanaście minut na relaks, wyciszenie, a podczas urlopu żyć tak, żeby odprężyć ciało i umysł. Nie jest sztuką zarządzić organizm, sztuką jest pracować wydajnie, ale tak, aby wieczorem nie padać na nos. Wiadomo, że musimy wypełnić swoje obowiązki, ale nie musi nam przy tym towarzyszyć ciągłe napięcie i stres. Poza tym, przejadamy się i to produktami niezbyt dla organizmu zdrowymi. Palimy, nadużywamy alkoholu.

— Uczyl się pan uzdrawiania z książek, od innych ludzi?

— I z książek, i od ludzi. Dużo podróżuję, m.in. dwukrotnie byłem w Indiach. Pierwsze kroki stawałem w klubie radiestetów, działającym wówczas przy WDK, który prowadził Edward Trusielewicz. Pięć lat czekałem, żeby się dostać do klubu. Musiałem dojrzeć, wielu rzeczy się nauczyć, przejść weryfikację. Potem były różne kursy w wielu miastach Polski. Uważam jednak, że najważniejsze jest doświadczenie samego siebie. Przeszedłem różne choroby i dużo dzięki temu zrozumiałem. To nie jest tak, że choroba spada na nas niespodziewanie. Zazwyczaj ciężko i długo na nią pracujemy. Dlatego samo wyleczenie nie sprawia mi już takiej satysfakcji. Cieszę się natomiast, kiedy udaje mi się dotrzeć do pacjenta, kiedy zaczyna rozumieć, że sam ściągnął na siebie chorobę i że sam może się od niej uwolnić.

— Czy nasz organizm mówi do nas? Czy wystarczy przyglądać się sobie, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia, przed czym nas ostrzega?

— Oczywiście. Pewna mistrzyni Zen opowiedziała mi kiedyś o wścigach psów organizowanych w Ameryce. Puszczają się je za sztucznym zajęciem, biegają wokół ringu. My też często robimy to samo: ganiamy w kółko za fałszywym zajęciem, czyli fałszywymi celami. Niektórzy zatrzymują się w tym biegu i zadają sobie pytanie: co ja robię, za czym gonię. I to już jest sukces. Radzę wszystkim żeby co jakiś czas zadali sobie takie pytanie. Odpowiedź bywa otrzęswiająca.

Elżbieta BURZYŃSKA-MISZCZAK

Jan Pawlik: lat 44, absolwent Wydziału Ochrony Wód i Rybnictwa Śródlądowego

